



Zbigniew Skoczylas

część III z IV

Sygnatura notacji: **N0005**

Data urodzenia: **02.08.1928 r.**

Data nagrania: **13–14.11.2006 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Anna T. Pietraszek**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 59 min, część III: 49 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 48 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Anna Pietraszek: To jak to można powiedzieć, że przez cały czas istnienia Ludowego Wojska Polskiego, jak dalece, jak to, jak wyglądała struktura kontroli tego drugiego mocarstwa nad tym naszym niby wojskiem?

Zbigniew Skoczylas: To znaczy tak, w momencie powstania pierwszych jednostek Wojska Polskiego, pierwszej dywizji imienia Tadeusza Kościuszki, dowódca dywizji był Polakiem z piękną karierą legionową, generał Berling był legionistą, oficerem kadrowym Wojska Polskiego. No i tu się zaczyna problem, bo trafił do Związku Radzieckiego w 1939 roku w następstwie Września. No i wszystko wskazuje na to, że był zdecydowanie przekonany, że Polska jest skazana na ścisłą współpracę ze Związkiem Radzieckim, że nieuchronnie będzie wojna niemiecko-radziecka, nazwijmy to tak, i że na tej bazie należy próbować budować wszystko. Był o tym absolutnie święcie przekonany. Wszystko wskazuje na to, że miał rację, bo ogromna większość innych była przekonana, że do Polski przyjdą alianci, Amerykanie i Anglicy i inni nasi sojusznicy i że się odbuduje tę drugą Rzeczpospolitą, ewentualnie nazwie się, że generał Sikorski, że Anders, że... Wyszło tak, że nic z tego. Wiadomo było... Można było, znaczy gdyby rację miał Churchill ze swoim planem, że należy lądować w Europie, nie we Francji, nie we Włoszech, tylko na Bałkanach i stamtąd rozwijać operacje w kierunku północnym, żeby odciąć Związek Radziecki od Europy, to wtedy przybyliby do Polski Anglicy i Amerykanie, drugi korpus generała Andersa i budowałibyśmy inną zupełnie Polskę. Ale po bitwie na łuku Kurskim w lipcu 1943 roku trzeba było wziąć cyrkiel w łapę i odmierzyć odległość Kursk-Warszawa, ustalić w jakim tempie Armia Radziecka na dzień się posuwa do przodu i wtedy każdy dureń powinien sobie wyliczyć, że pierwsi będą tutaj towarzysze radzieccy. I nikt nie powinien mieć złudzeń, jakby to było. Może gdyby, ale nawet gdyby żył Sikorski,

bo przecież za Sikorskiego w kwietniu 1943 roku zerwano stosunki, znaczy Związek Radziecki zerwał te stosunki. Berling budował to, ale już wtedy pojawili się w składzie pierwszej dywizji, zastępcą Berlinga był generał Kieniewicz, rosyjski oficer i generał, chyba do 1. dywizji przyszedł jako pułkownik, potem awansował. W Polsce był dowódcą krakowskiego okręgu wojskowego, do 1952 albo 1953 roku, potem okręg krakowski rozwiązano, powstał w tym miejscu jeden większy okręg. No i oczywiście wszyscy ci oficerowie, którzy trafiali na różne stanowiska, dowódcy pułków 1. dywizji, wszyscy byli oficerami radzieckimi. Jak już zresztą mówiłem, bardzo różni byli to oficerowie, ale potem po wojnie już został generał Korczyca, aczkolwiek ten się bardzo ostro... Popławski. To wszystko byli oficerowie radzieccy. Większość z nich została generałami dopiero w Wojsku Polskim. I to byli ci ludzie, którzy realizowali ten program, który narzucono w Siłach Zbrojnych Polski ze strony radzieckiej. Inna sprawa, że do 1949 roku niewiele się działo, bo z wojny ta armia wyszła bardzo ubożuchna, sprzęt zniszczony i zajędzony. I dopiero po wejściu na stanowisko ministra obrony narodowej, marszałka Konstantego Rokosowskiego, no i wtedy postawiono na zbrojenia, bo przecież plan sześcioletni był przede wszystkim planem budowy potencjału militarnego. I tak nie zrealizowano tego w takim wymiarze, w jakim planowano, bo po prostu środków nie starczało. Już wtedy. Aczkolwiek wydaliśmy straszne pieniądze na ten, bo wtedy się zaczęła ta ostra konfrontacja. Do 1949 roku ta kurtyna żelazna była sobie taką dość dziurawą kurtyną, ale potem po 1949 roku zrobiło się śmiertelnie poważnie. Po 1956 roku zelżało to, aczkolwiek w osobie szefa sztabu generała Bordziłowskiego, oni zachowali pełną kontrolę nad tym, co się w Wojsku Polskim dzieje. Nie mówiąc o, powiedzmy, organach wywiadu radzieckiego, które były uplasowane na różnych stanowiskach, w różnych instytucjach PRL-u, w tym również w Wojsku Polskim, gdzie mieli bezpośrednie informacje. Pierwsi polscy generałowie, tacy autentyczni w Polsce, to generał Śliwiński, generał Huszcza i generał Michał... O kurczę, właśnie już raz powiedziałem, że mi nazwisko wyleciało z głowy. Oni ukończyli Woroszyłówkę i pod koniec lat 40., na początku lat 50., byli już awansowani do stopni generalskich. No oczywiście generał Duszyński, Komar, to była ta generacja znowu innej proveniencji, ale też Korczyński, to byli generałowie tu, którzy wyszli z AL-u. Ale to było głęboko ideologicznie powiązane ze Związkiem Radzieckim. Nie wiem zresztą jak Duszyński, bo on może najmniej, ale Komar to Hiszpan z brygad międzynarodowych, ostro powiązany. Ale w 1956 roku on i Korpus Bezpieczeństwa ostro optowali za ochroną naszego rządu przed ewentualnym działaniem ostrym strony radzieckiej. Korczyński, podobnie jak Moczar, to tacy partyzanci, co to nie wiadomo z czego powyrastało na tych generałów. Jaroszewicz, premier, przedwojenny nauczyciel, działacz komunistyczny, to nie było to. Zachowano przede wszystkim kontrolę nad polskimi siłami zbrojnymi po 1956 roku przez osobę generała Burdziłowskiego. Potem już wyhodowała się nowa generacja polskich oficerów i generałów, którzy zajęli kluczowe stanowiska w sztabie generalnym, w dowództwach okręgów wojskowych, w rodzajach sił zbrojnych. Taką bardzo ciekawą postacią był na przykład generał Frej Bielecki, dowódca sił powietrznych po 1956 roku. Wyszedł z informacji wojskowej, ale został latającym pilotem, oficerem, potem generałem. Bielecki to on też był z [nie de domo], bo to też polski dobry bojowy Żyd. Ale to z tych bojowych. To były takie bojowe Żydy, podobny do Marka Edelmana, to ten gatunek. I to był ostrzak. On sobie nie pozwalał dmuchać w kaszę proszę cię stronie radzieckiej, on twardo optował. Potem jak towarzysz Gomułka coraz bardziej jednak wekslował w stronę ścisłych powiązań Układu Warszawskiego i gospodarczych z tym, to go wywalono ze stanowiska, odszedł. W marynarce wojennej było trochę inaczej, ale też pozbyto się całego radzieckiego kierownictwa. Było tak, że do armii po 1945 roku wrócił na przykład z generałów przedwojennych generał Boruta Spiechowicz. No to zależy komu będziemy zarzucać te tendencje wyniszczeniowe. Przecież wyniszczyliby nie towarzysze radzieccy, którzy nie musieli obrzucać Polski jajami atomowymi, tylko przyłożyliby nam obecnie nasi towarzysze z wiadomego ugrupowania.

Anna Pietraszek: No to wracamy do twojej drogi wojskowej.

Zbigniew Skoczylas: No tak, byliśmy w 1. pułku, gdzie odkiblowałem dwa lata. W tymże pierwszym pułku pełniłem tę służbę do początku roku 1962. I wtedy znowu się pojawił na arenie pan generał Kuropieska, który w związku z wielkimi czyszkami, które nastąpiły w 6. Dywizji Powietrzno-Desantowej szukał nowej kadry i doszedł do wniosku, że ja mu tam będę potrzebny w batalionie szkolnym na stanowisku zastępcy do spraw liniowych. Tam była taka seria nieszczęśliwych wypadków, popijawy, wypadki śmiertelne. No i wtedy rozpędzono całe bywłe dowództwo aż do szczebli batalionów. Wtedy tam wszyscy dowódcy batalionów się zmienili. Zdrzałka został dowódcą 16. Batalionu, Jarosz dowódcą Batalionu 10., Gienek Habdas 18 w Bielsku, Jabłoniec, którego po dwóch miesiącach ja zastąpiłem, został dowódcą 10. Batalionu Szkolnego Dywizji, Rysio Piwowar został dowódcą Dywizjonu Artylerii. Te praktycznie zmienili się dowódcy wszystkich batalionów, zmieniło się dowództwo i sztab dywizji. Na dowódcę dywizji miał przyjść generał pułkownik Rozłubirski, który w tym czasie był na Woroszyłówce, kończył, już było wiadomo, że wróci i zostanie dowódcą dywizji. A na dowódcę dywizji dano nam niezłego faceta, pana generała Kazimierza Makarewicza, pułkownika Makarewicza. To był ten facet, który był zastępcą do spraw liniowych w 12. Dywizji, jak dowódcą dywizji był generał Jaruzelski. Pan bardzo kulturalny, mówię o Jaruzelskim,, którzy wszystkich tam, którzy powiedzmy musieli stawać przed jego obliczem z racji jakichś tam win, traktował bardzo wytwornie, nie krzyczał, nie wymyślał, rozmawiał, tłumaczył, że tak nie można. Nieszczęśnik oczywiście tajał, czuł się dobrze, potem odmeldowywał się. Jaruzelski mówił: „To teraz jeszcze tylko poproszę, żeby pan zameldował się u pana pułkownika Makarewicza”. No i ten już brał każdego we właściwy obrót. Ale nie mogę powiedzieć złego słowa na niego, byłem u niego już dowódcą batalionu szkolnego. Był bardzo wymagającym panem, począwszy od tego, czy buty były w drabinkę, czy w jodełkę zasznutowane, a skończywszy na tym, jak się kto poruszał i jakie miał wyniki w pracy. Porządek zrobił, 6 miesięcy mu wystarczyło, żeby dywizję ustawić tak, jak powinna być ustawiona. No i po nim przejął dywizję Rozłubirski. A w dywizji jak w dywizji, ćwiczenie gonilo ćwiczenie, nie było ćwiczenia, żeby 6. dywizja nie musiała skakać, bo taki był urodzaj wtedy na te rzeczy. Dalej trenowaliśmy i szkoliliśmy się w działaniach w ramach operacji powietrzno-morskiej, ale też głównie to jednak była ta Zelandia wałkowana, ale bywały również zabawy bardziej ciekawe, bo skakaliśmy na ćwiczeniach i w celu uchwycenia przejść przez Kanał Kiloński i przez Wezerę.

Anna Pietraszek: A co to była ta Zelandia?

Zbigniew Skoczylas: Zelandia to jest wyspa, główna wyspa, na której leży Kopenhaga, no i tam mieliśmy lądować, lądował desant powietrzny, miał lądować, miał lądować desant morski i do tego były przygotowane 3 dywizje. 6., powietrzno-desantowa, 7., obrony wybrzeża, chodziła w niebieskich beretach, już jej teraz nie ma, ciemno niebieskich beretach, a nie takich wypłowiałych jak nasze siły kontygentowe w Iraku i 15. zmechanizowana. Ja się zawsze zastanawiałem, na ile te ćwiczenia leżały w ramach rzeczywistych planów operacji połączonych sił Układu Warszawskiego. Było takie wielkie ćwiczenie w 1978 roku, ćwiczenie „Fala”. Ćwiczyła cała flota bałtycka, nasz korpus desantowy w składzie tych trzech dywizji, wydzielone elementy Piechoty Morskiej Związku Radzieckiego, chyba brygada piechoty morskiej i pułk piechoty morskiej NRD, plus lotnictwo, plus to wszystko, co tam było. Było bardzo poważnie prowadzone ćwiczenie. Kierowała tym marynarka wojenna radziecka w ramach zadań układowych, bo decydującym

elementem były siły morskie w tym wszystkim. Rozmawiałem, tam byli bardzo dobrzy oficerowie, zupełnie inny gatunek oficerów, aniżeli oficerowie wojsk lądowych. Przecież nie wszyscy władali co najmniej dwoma językami, z reguły angielskim i niemieckim. Bardzo młodzi admirałowie, właśnie z takim bardzo sympatycznym młodym admirałem rozmawialiśmy i w pewnym momencie oglądaliśmy taką mapę, którą myśmy tam przedstawiali. Jemu się bardzo podobało, jak myśmy to tam na tej mapie wszystko rozegrali. I ja mu wtedy zadałem takie pytanie, jak dalece prawdopodobne jest, że w rzeczywistych działaniach bojowych my otrzymamy takie same zadanie. I on tak spojrział na mnie i mówi, że przecież to jest oczywiste, że tylko takie, bo wy jesteście do tego najlepiej przygotowani. No ja sobie pomyślałem, że to jednak dobrze świadczy o tym, że wy tak nie bardzo wiecie jak te sprawy naprawdę wyglądają. Bo sprawa wyglądała tak, że my wiedzieliśmy, że oni wiedzą, że my wiemy, że oni wiedzą, że my ich picujemy. I że obie strony, znaczy wiele rzeczy, które przedstawiano na ćwiczeniach, wyglądało tak, że myśmy tego nie mogli zrobić, bo było za mało sił, środków, przede wszystkim pieniędzy na to nie starczało. Na to trzeba było super nowoczesnego sprzętu, a przecież jeszcze do lat 70. cały okręg warszawski jeździł na T-34 z okresu II wojny światowej. To był nasz standardowy czołg w okręgu warszawskim. Chyba pierwsza dywizja miała T-55, T-56, T-72 nie miał nikt. Pamiętam, w Wesolej generał Molczyk organizował taki kurs dla dowódców batalionów piechoty zmechanizowanej z całego Wojska Polskiego. No więc zjechało się 15 razy 9, ale odliczając 6. odliczając morską, no około 150 dowódców batalionu. No i tam były seriozne pokazy, akurat już od roku mieliśmy bojowe wozy piechoty jedyńki, te z tą 73-milimetrową armatą i tą małą raketą przeciwczołgową. No i na poligonie to wszystko pokazywano. Ci dowódcy batalionów, tacy przyłoczeni obecnością, było-nie było wiceministra obrony narodowej, a w ogóle nie było w zwyczaju, żeby pyskować. To były takie stosunki typowe raczej dla strony radzieckiej. Z góry naczelstwo podaje, co jest do wierzenia i wszyscy wierzą, gadać nie ma o czym. No więc ja się tak wszystkiemu przysłuchiwałem, bo ja byłem już wtedy w inspektoracie szkolenia, w zarządzie piątym, rozpoznawczym i zawsze nas tam dobierano z kilku oficerów z różnych zarządów, gdyby wyszły jakieś wątpliwości, żeby można było od razu służyć informacjami Molczykowi. No i jest przerwa, Molczyk podchodzi, było nas tam dwóch wtedy, nie pomnę kto był drugi i patrzy na mnie i mówi „No, i jak wy to widzicie?”. A ja mówię „Obywatelu generale, tak, serioznie”. Ja mówię „Obywatelu generale, to jest nieporozumienie”. On się zachnął. Co przez to rozumiecie? Ja mówię „Obywatelu generale, są tu dowódcy wszystkich batalionów piechoty zmechanizowanej Wojska Polskiego. Proszę zatem przyjąć do wiadomości, że mamy tutaj co najmniej trzy, jeśli nie cztery różne bataliony zmechanizowane, bo było wtedy może pięć czy sześć batalionów zmechanizowanych, które jeździły na BWP-1. Było kilkanaście batalionów, które jeździły na Skotach. Było kilka batalionów, które jeździły na naszych Starach 6x6 i były bataliony, które jeździły na samochodach z gospodarki narodowej powołane. Ja mówię „Przecież każdy z tych batalionów będzie inaczej”. No dobrze, BWP mogą jechać w tempie natarcia czołgów, to jest jasne. Ze Skotami może być już bardzo różnie, bo trochę lepszy, większy ruch czy coś takiego, to nie przejdą. Wozy Stary 6x6, to piechota musi siadać i popylać na piechotę, a gospodarka narodowa to chyba obywatel generał [niezrozumiałe, 00:19:43]. No i Molczyk tak popatrzył na mnie i mówi „Macie rację, to trzeba zmienić. Proszę o propozycję”. No, to oczywiście całą noc tyrałem, aleśmy to wyregulowali. Ale miałem satysfakcję, bo gdzieś dwa miesiące później na poligonie w Dębnie w trybie alarmowym rozwinięto pułk 9. Dywizji, który stacjonował w Rzeszowie i ten pułk marszem na kołach udał się na Dębę i miał ćwiczyć. Jest godzina 5:00 rano, obaj z Molczykiem stoimy przy wjeździe na poligon, z szosy taką kocimi łbami brukowaną szosą się tam zjeżdżało i patrzymy, a z szosy skręca w tę drogę sznur Żuków. I przejeżdża kawałek koło nas i pierwszy Żuk próbuje zjechać z tej drogi brukowanej kocimi łbami w taką polną dróżkę, ale ona przechodzi takim garbem przez rów, żeby dojechać

do lasu. No i oczywiście się zakopuje, staje i tego. Wysiadają jacyś żołnierze, Molczyk patrzy i mówi, co to jest. A ja mówię: „Obywatelu generale, to jest właśnie kompania rozpoznawcza pułku z Rzeszowa na środkach zmobilizowanych z gospodarki narodowej. Każdy Żuk w innym kolorze”. On tak patrzy na mnie i mówi: „Czy chcecie przez to powiedzieć, – że wtedy jak na tym, tego? – No właśnie ja to chcę powiedzieć, że tak to wygląda”. No bo tam dość często się zdarzało, że Molczyk zabierał sobie mnie, jak gdzieś tam wyjeżdżał w toku ćwiczenia poligonowego na jakieś tam punkty. Kiedyś na poligonie w Drawsku, tam jest takie, dwa są takie sławne miejsca na poligonie. Jedno na poligonie w Orzyszu, to jest potok koło lasu Klin, a drugi to jest taki potoczek na poligonie w Drawsku, to się nazywało chyba Biały Brzeg, czy coś takiego. Więc na tych dwóch potoczkach załamała się niejedna kariera generalska, bo w lecie to stosunkowo łatwo można się było przez to przeprawić. Natomiast na wiosnę i na jesieni to te potoczki się rozlewały w takie cholerne bagno i próby przejścia tamtędy kończyły się utopieniem czołgów, potem trzy, cztery czołgi musiały jednego bydlaka wyciągać. No i tam stoimy, z lasu wypada pułk czołgów, cały, osiemdziesiąt parę maszyn. Tam takie dość szerokie łągi były przed tym wszystkim, zapychają do przodu, ale w pewnym momencie huk, ten mostek na tym Białym zostaje wysadzony, oczywiście zapozorowano, no i te czołgi stoją, bo nie ma jak, akurat jest rozlewisko i stoją. No mija 10–15 minut, coś tam niby ktoś podchodzi, do tego jacyś saperzy tam coś oglądają, ale te wszystkie czołgi stoją. No i Molczyk znowu patrzy na mnie i mówi „I co wy na to?”. Ja mówię „Ja na to tylko tyle, obywatelu generale, tu na tej mapie – bo miałem mapę ze sobą – są wyrysowane wszystkie środki obrony przeciwpancernej, mieliśmy wtedy tam za przeciwnika chyba 11. dywizja zmechanizowana niemiecka, ale tu jest ugrupowanie, tam akurat bronił się w tym miejscu batalion piechoty niemieckiej, tu są ugrupowane wszystkie, przedstawione wszystkie środki obrony przeciwpancernej, no było tego sporo. No więc oni sobie tak stoją, to właściwie połowa tych czołgów już się pali, bo oni jak tylko ten most wyleciał, to mogli zrobić tylko jedno, zrobić w tył zwrot i uciekać przedziutko do tego lasu i tak by się było paru czołgom oberwało. No więc Molczyk znowu się wściekł i mówi: „To idziemy, zobaczymy co się tam dzieje”. No więc podchodzimy do pierwszego czołgu, walimy tam, bo nic, załoga śpi jak zarżnięta. Po pięciu minutach nie udało się nikogo obudzić, wreszcie ja porwałem jakiś kamień, który tam leżał i dopiero tym kamieniem dzwoniąc po czołgu, wylazł dowódca tego czołgu, zaspany, niczym ten, przeszliśmy przez te wszystkie czołgi, zrobiła się awantura pod niebiosa, a wszystko się to zawróciło. Ale do czego zmierzam? Molczyk był wyjątkowo udanym, utalentowanym dowódcą frontu. To zresztą wojenny oficer, czołgista, palił się w czołgu, on był w korpusie zmechanizowanym, tym który w operacji budziszynskiej zapędził się aż pod Drezno, rozbili go Niemcy, palił się, jego mechanik, kierowca go uratował, bo go wywlókł z tego czołgu. No a potem robił taką bardzo rzetelną karierę, dowódca batalionu czołgów, pułku czołgów, dywizji pancerniej, korpusu pancernego, no i wreszcie dowódca okręgu wojskowego i tak jak to rzetelny generał powinien jechać. Oczywiście nie tak jak Franio Gągor, ostatni nasz wspaniały szef sztabu. Bardzo go lubię zresztą, sam jeszcze jako dyrektor gabinetu politycznego przyłożyłem łatkę do awansowania go do stopnia generała, dlatego że Franek był wtedy naszym przedstawicielem wojskowym w kwaterze głównej NATO, a ja po kilku wizytach zorientowałem się, że właściwie tam się liczy człowiek od rangi generała. Reszta się nie liczy, więc pułkownik to nie jest żaden stopień. No i zrobiono z Frania generała, ale Franiu nigdy w życiu niczym nie dowodził, niczym, bo on był lektorem języka angielskiego, wykładowcą tegoż języka w szkole oficerskiej, potem go ściągnięto tu z inspektoratu, bo jak się zaczęły zabawy w NATO, to potrzeba była fachowca, tu w tej roli został podpułkownikiem, potem stworzono departament współpracy z NATO, on był rozeznanym, więc został i słusznie, bo do tego się doskonalił. I na tym był koniec. Etat był generalski, no, Franiu pojechał dalej i nagle się nam objawił jako szef sztabu generalnego, no, humorystyczna zupełnie sprawa i niepoważna. Tak się ludzi w żad-

nej armii, nikt nie mógłby zostać szefem sztabu generalnego, jeśli nie dowodził batalionem, pułkiem, dywizją, korpusem, no i powiedzmy w naszej sytuacji okręgiem. No ale dlaczego się zatrzymałem na generale Molczykowi? Dlatego, że ja bardzo tego pana ceniłem, uważałem go za najwybitniejszy talent dowódczy spośród tych wszystkich generałów, z którymi się spotykałem. Zadałaś takie pytanie, jak to odbierano, ten nadzór, prawda, jak ten nadzór wyglądał? Myśmy, ja w sztabie frontu, czyli w inspektoracie szkolenia, byłem starszym specjalistą w zarządzie rozpoznania ogólnowojskowego. To pojęcie tego rozpoznania to jest u nas takie miałki, dlatego, że Anglicy i Amerykanie różnią rekonesans, reconnaissance i specjalistyczne takie pół-wywiadowcze, inteligence. To są dwa różne pojęcia, różne rodzaje oficerów w tym biorą udział. U nas właściwie nie ma tego rozróżnienia, jest wywiad, ale to jest znowu co innego, bo od spraw wywiadu Anglicy i Amerykanie mają specjalne, zupełnie inne organy. Na przykład dlatego oskarżono Oleksego o kłamstwo lustracyjne, że na pewnym etapie ja w tym palce maczałem, dlatego, że ponieważ zdolności lingwistyczne kadry Wojska Polskiego były żadne, bo znających język angielski w ogóle nie było, więc w pewnym momencie zadałem, nawet generałowi Molczykowi, Jaruzelski był przy tym, jak my sobie to właściwie wyobrażamy, że tak długo będziemy lali tych jeńców, dopóki nie zaczną mówić po polsku, bo kto ich będzie w stanie przesłuchać. No rzeczywiście zrobił się z tego problem i wtedy zaproponowałem, że weźmiemy wszystkich chłopców, studentów anglistyki i jako podchorążych będziemy ich brali na praktykę. I tak to było. Myśmy mieli w naszym pionie rozpoznania ogólnowojskowego cztery pod-piony. Rozpoznanie ogólnowojskowe, rozpoznanie radioelektroniczne, rozpoznanie specjalne, taki spec radziecki, bo to stamtąd do nas przyszło. Ja byłem właśnie od rozpoznania specjalnego na pewnym etapie w sztabie okręgu i w sztabie frontu. Potem zmieniłem specjalność i było rozpoznanie lotnicze, a obok tego w zarządzie rozpoznania frontu na wypadek wojny był jeszcze jeden oddział rozpoznania agenturalnego. No i ci podchorążowie ze studiów anglistycznych trafili do tych poszczególnych pionów rozpoznania. Traf chciał, że Oleksy nie trafił do ogólnowojskowego, nie trafił do radiolokacyjnego, nie trafił do specjalnego ani lotniczego, tylko trafił na wypadek mobilizacji, miał przydział do rozpoznania agenturalnego sztabu frontu. Wszystko. Taka była prawda. Ani nie prowadził żadnej działalności wywiadowczej, miał taki przydział. Przydziały takie miało co najmniej kilkudziesięciu ludzi w Polsce. To jest jedna sprawa. Sprawa druga, to znaczy jak dalece byliśmy, mieliśmy rozeznanie i przygotowani do wszystkiego. Więc myśmy przez lata całe abonowali całą prasę fachowo-wojskową z zachodu. Wszystko, co wychodziło z Zachodu, od Soldat und Technik Army, francuska armia też to było, więc 25 pozycji miałem w okręgu, 25 pozycji miałem w inspektoracie. Oprócz tego abonowaliśmy roczniki Jamesy. To jest takie specjalistyczne wydawnictwo angielskie, które jest, wychodzi 20 różnych tytułów tych Jamesów. Wojska lądowe, uzbrojenie, sprzęt pancerny, sprzęt artyleryjski, lotnictwo, marynarka wojenna, łączność. I to są bardzo szczegółowe opisy wszelkiej techniki tego rodzaju, jaka znajduje się w wyposażeniu wszystkich armii. Myśmy to mieli za okres, co najmniej 12 lat ja tego pilnowałem. Od czasu jak trafiłem do okręgu, aż do końca mojego pobytu w inspektoracie, gromadziliśmy. Na wszystkich ćwiczeniach układowych, jak towarzysze radzieccy, których nam tam przydzielono jako rozjemców, obserwatorów, jak to oglądali, to padali trupem, a szczęki na pępek im opadały, bo tam były rzeczy, które u nich były, [oczej? niezrozumiałe, 00:31:03] sekretne, tajne i tak dalej. A tutaj jawne, pytał skąd my to mamy, więc ja złośliwie odpowiadałem, że to się kupuje w kioskach w sumie w Wielkiej Brytanii, takich, gdzie sprzedają gazety. No więc wiedzieliśmy wszystko. Oprócz tego sprowadzaliśmy znaczące książki. Były właściwie dwie takie pozycje znaczące. Jedna to jest taka „Bezbronna Europa”, taki jest tytuł. Autorem jest dowódca 16. Dywizji Pancерnej Belgijskiej. W tej chwili nie pomnę nazwiska tego generała, ale książka u mnie leży. I to pan generał wymyślił sobie taki scenariusz, że jest Wielkanoc, najważniejsze święto w krajach tych ewangelickich. No i oczywiście jak to w NATO,

na przykład na Boże Narodzenie, to cały zastaw NATO-wski kończy pracę 23. po południu i wraca do pracy. 2 stycznia po południu. Święta Wielkanocne [niezrozumiałe, 00:32:07] Więc tak właśnie przyjęli, że to jest taki okres i że w tym momencie towarzysze radzieccy dochodzą do wniosku, że oni zaczną wojnę tylko tym, co mają w NRD. Nie będzie żadnych przegrupowań, żadnych sygnałów. Te 22 dywizje radzieckie stacjonujące w NRD plus 6 dywizji niemieckich, które tam też jest na co dzień. I to wszystko rusza pierwszego dnia Wielkiej Nocy. W święta, niedzielę świąteczną. I jedzie przez Niemcy. Nie ma nikogo. Pusto. Szkopy są po obchodach, prawda, kolacja świąteczna. Cały sztab osobowy wojska niemieckiego, amerykańskiego jest na przepustkach i bawi się w burdelach albo powiedzmy śpi w hotelach. I oni jadą, i wyjeżdżają po 36 godzinach na Ryn. Tam to jest świetnie udokumentowane. Ta książka wywołała dziką awanturę w NATO. Ale po cichu przyznawano, że tak by naprawdę mogło być. No i oczywiście wyjeżdżają na teren i z tej pozycji zaczynają rokowania pokojowe. To była jedna książka. A drugą książkę napisał taki angielski generał Hackett. Też ciekawa postać, bo to jest ten Hackett, który razem z naszymi skakał pod Arnhem. On był wtedy dowódcą 1. brygady spadochronowej. Nie, on był dowódcą 4. brygady spadochronowej. Skakał drugiego dnia operacji. A potem dalej służył i dosłużył się stanowiska dowódcy wojsk lądowych NATO w Europie. I napisał taką książkę „Niemcy 14 lipca 1985 roku”. To było pisane w roku 1974, przepraszam, w roku 1972. No i to jest znowu scenariusz wojny, która się zaczyna i przebiega tak, jak obie strony ją widziały i zakładały. Znowu toczka w toczkę tak samo. Myśmy mieli podzielony cały Europejski Teatr, Środkowoeuropejski Teatr Wojenny na pięć kierunków operacyjnych i oni mieli Środkowoeuropejski Teatr Działań Wojennych podzielony na pięć kierunków. A jest nadmorski kierunek operacyjny, berlińsko-ruhrski kierunek operacyjny, drezneński-frankfurcki kierunek operacyjny i jeszcze dwa na południe od tego. I oni tak samo. I na każdym, po naszej stronie to front, a po ich stronie grupa armii. Ta różnica w nazwach. Do tego jeszcze Niemcy wymogli, bo na pewnym etapie, póki Francja była militarnie w układzie NATO-wskim, to Amerykanie zakładali, że operacja obronna będzie wyglądać w ten sposób, że wojska sprzymierzone będą opóźniać po natarcie działania wojsk radzieckich na obszarze Niemieckiej Republiki Federalnej aż do Renu, tam się skonsolidują, przybędą wzmocnienia i zmobilizowane dodatkowo siły i Niemcy się odbije i przywróci status quo ante. Ale staremu Adenauerowi to się nie spodobało, oświadczył, że po takich zabiegach, to o ile po pierwszej wojnie ten program ministra skarbu amerykańskiego, on się nazywał Hagenau, coś takiego, zakładał, że Niemcy zamieni się na jedno wielkie kartoflisko, będą krajem rolniczym i tylko kartofle tam będą produkowane, autentyczne. To Adenauer powiedział, że po tej wojnie, tej pomyśle amerykańskiej, to nawet kartofli nie da się zasadzić, bo wszystko będzie tak załatwione i wymogli zmianę doktryny NATO-wskiej na doktrynę wysuniętej obrony. Natarcie radzieckie miało być załamane tuż na granicy NRD-RFN w oparciu o pas min jądrowych Trettnera. Więc jak myśmy to przeliczyli i popatrzyli, to powiedzieliśmy, że właściwie nie trzeba w ogóle będzie, jak oni zdetonują te prawie, tam było prawie 800 kilkadziesiąt ładunków jądrowych, wprawdzie niewielkich, ale tak rzędu 5–10 kiloton, każdy. Jak oni to wszystko wypieprzą, to nie będzie trzeba przeprowadzać żadnych uderzeń jądrowych ani w NRD, ani w Polsce, bo chmury opadów radioaktywnych przykryją nas tak dokładnie. No i tak to wyglądało po obu stronach. Obie strony świetnie wiedziały, co w trawie piszczy, jak to wygląda. Wiadomo było, że żadnej wojny nie będzie. To jest taka ostateczna konkluzja. Pamiętam takie ostatnie, chyba dziesięciodniowe ćwiczenie układowe. Ostatnie stanowisko dowodzenia nasze pod Berlinem. Mieliśmy autentycznie, tam żęśmy byli. Na stanowisku jest Molczyk, ja byłem, bo potem pracowałem na centrum dowodzenia u Molczyka. Jest Molczyk, generał Grybkow, ówczesny szef sztabu układu i generał Antonow, generał, to on był generałem armii czterogwiazdkowym, Antonow był szefem GRU. No i jest po uderzeniach jądrowych i my wszyscy zliczamy te ilości tych kiloton, stopień napromie-

niowania, rysujemy te cygara skażenia promieniotwórczego i Antonow podchodzi do mnie, ja byłem zwiadowcą, prowadziłem ten dział rozpoznania, „No i jak, jak wy to oceniacie?” Ja mówię: „[Towarzysz generał, jak wskazać] koniec rzeźni, koniec wojny, tu się już nic nie pozbiera z tego wszystkiego, każda dywizja dostała jedno uderzenie i to samo zrobiliśmy po drugiej stronie. Już są wypieprzone wszystkie miny jądrowe na sklepach śmierci, jest koniec wojny”. On mówi: „No ładno, tak to trzeba ułożyć”. Tak to wyglądało. I teraz w tej materii dalej. Otóż było trzech ludzi takich w Polsce, którzy niby odegrali bardzo ważną rolę w informowaniu krajów NATO-wskich o pewnych sprawach. Pierwszy nazywał się Jaźwiński i był podporucznikiem. Uciekł z pierwszym Migiem 17, lądował na Bornholmie. Zaraz za nim uciekł drugi, tylko rozbił Miga przy lądowaniu. I to było pierwszych dwóch polskich oficerów, którzy dostarczyli bardzo ciekawych informacji. Te Migi 17 były wtedy nowością i Amerykanie złapali wtedy pierwszy, znaczy Duńczycy złapali, ale wiadomo było, że Amerykanie oddali go dopiero wtedy, jak go dokładnie przebadano. I to były pierwsze [niezrozumiałe, 00:38:59].

Anna Pietraszek: Pierwszy nazywał się Jaźwiński i był...

Zbigniew Skoczylas: Jaźwiński, nie pamiętam nazwiska tego drugiego. Ale było ich dwóch, zresztą obaj z Malborka, z tego pułku lotniczego. Pierwszy lądował Jaźwiński, cały [przepadł? niezrozumiałe, 00:39:10] drugi to było kilka dni później, z tego samego pułku z Malborka, albo z Ornety, już nie pomnę dokładnie. I tego chyba postrzelali, o ile sobie przypominam, w powietrzu lądował. I rozbił samolot, ale sam wyszedł cały z tego wszystkiego. I to był pierwszy przypadek. Potem był taki bardzo ciekawy przypadek, mianowicie oficer do zleceń Freja Bieleckiego, instruktor, nazwiska nie pomnę, mimo że był u mnie jeszcze w roku 2001, ze Stanów Zjednoczonych przyjechał. Uciekł i to w ciekawy sposób, mianowicie pod pozorem lotu, do którejś z jednostek miał dostarczyć jakieś tam materiały, umówił się z żoną na lotnisku polowym, chyba w Nadarzewicach. Tam żona przyjechała, on wylądował w Nadarzewicach, wyrzucił mechanika z samolotu, zabrał żonę, dwójkę dzieci i lądował w Berlinie Zachodnim. Był to o tyle ciekawy wypadek, bo on bardzo często latał z polecenia Freja do Moskwy, uzgadniać pewne rzeczy. Między innymi miał ze sobą i przekazał tam materiały dotyczące łączności lotniczej. Bardzo ciekawe materiały. Został chyba odznaczony Srebrną Gwiazdą Wywiadu Stanów Zjednoczonych. To łatwo poszukać po tych danych. To była jedna z najbardziej spektakularnych ucieczek. I potem oczywiście był trzeci egzemplarz, no to przestawny pan pułkownik Kukliński. No i tu jest taka ciekawa historia. Mianowicie zostałem dyrektorem Departamentu Kadr MON . To był lipiec 1992 roku. No i pierwszy problem, z którym się zetknąłem, to znalazłem ogromną nadwyżkę oficerów, głównie aparatu politycznego. W wysokich stopniach to byli majorowie, podpułkownicy, pułkownicy, którzy oczekiwali na swój dalszy los. A ponieważ uznałem, że nie jest słusznym, aby siedzieli w domach i brali pensje za nic nierobienie, to sformowałem z nich różne takie komisje do przejęcia różnych materiałów rozwiązanego właśnie Głównego Zarządu Wychowania Politycznego, głównej komisji kontroli partyjnej Wojska Polskiego, takich różnych. No i między innymi w tym gmachu, gdzie się mieściło GZP, na strychu było archiwum Komisji Kontroli Partyjnej. Tam wysłałem pod dowództwem pana pułkownika sześciu innych oficerów i oni przystąpili do archiwizowania tych materiałów. Upał był, bo to lipiec, tam jest blaszany dach. Na tym strychu oni urzędowali tylko po pięć godzin dziennie w gatkach i kąpielówkach. Ale pewnego pięknego dnia zameldował się do mnie pan pułkownik i mówił, że przy okazji tej archiwizacji natrafili na bardzo ciekawe materiały, którymi oni doszli do wniosku, że one nie mogą być objęte normalnym trybem archiwizacji, tylko trzeba rozważyć, co z nimi należy zrobić. Było to kilkanaście arkuszy papieru maszynowego, głównie kalki przebitko-

wej z różnych okresów czasu dotyczących pana pułkownika Kuklińskiego. A były to sprawy pana Kuklińskiego, które pan Kukliński miał w Komisji Kontroli Partyjnej Wojska Polskiego. No i zabrałem się za rzetelne studiowanie tychże właśnie materiałów. A więc okazało się, że pan pułkownik Kukliński po pierwsze sfałszował sobie dokumenty, metrykę urodzenia, bo mu nie pasowała do legendy, jaką wokół siebie stworzył, dodał sobie dwa lata. I na podstawie tego twierdził, że on działał w konspiracji już w roku 1941, rzeczywiście miał wtedy 9 lat, ale dodał sobie prawie 2,5, czyli wychodziło mu na 13. I że działał w organizacji Miecz i Pług. Pechowo sobie to wymyślił, bo była to wyjątkowo wredna organizacja, którą stworzyli Niemcy do spółki z wywiadem radzieckim. To i NKWD, i Gestapo wspólnie inspirowały działalność tej organizacji. No i na tym, że on zresztą się mieszał i plątał, bo twierdził, że uczestniczył w powstaniu, że go po powstaniu wywieziono, tylko nie potrafił udowodnić w jakim oddziale uczestniczył w tym powstaniu. No i nagle wypłynął w 1945 roku we Wrocławiu, gdzie znalazł się w takiej formacji instytucji, która się nazywała Ochrona Mienia Poniemieckiego. To nie była ani milicja, ani Urząd Bezpieczeństwa, tylko formacja uzbrojona, która chroniła różne obiekty poniemieckie przed szabrem. I w tejże organizacji wstąpił do partii w 1946 roku, do PPR, nie PZPR. Miał bardzo wysoki numer partyjny. W 1946 roku to członków partii było bardzo niewielu. No i potem go zamknęli za jakieś tam poważne sprawy związane z rozgrabieniem tego mienia poniemieckiego, ale nagle po trzech miesiącach został z więzienia zwolniony. Potem w 1948 roku, w 1947 roku postanowił zostać oficerem i wstąpił do Szkoły Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu. Wkraczając do tej szkoły, dawał wszem wobec do zrozumienia, że został do niej skierowany. To tam wszystko jest w protokołach powiedziane, bo to są wyniki postępowania przed Komisją Kontroli Partyjnej i jego wypowiedzi, i ataki na niego na zebraniu partyjnym, na którym go wywalono z partii. Że został skierowany do szkoły Urzędu Bezpieczeństwa, żeby zdobyć stopień oficerski. No i był sobie, kończył w 1949 roku, wtedy szkoła oficerska trwała dwa lata, w 1949 roku, tuż przed egzaminami, nagle wypłynęła sprawa jego przynależności do tej organizacji Miecz i Pług. No i uznano go za persona non grata i w wojsku, i w partii, wywalono go z hukiem ze szkoły oficerskiej i z partii. I on, jeszcze nierozliczony ze szkołą, pojechał do Warszawy i wrócił z Warszawy z dokumentem nakazującym przyjęcie go z powrotem do szkoły, ponieważ już było po egzaminach końcowych, zaliczenie mu stopni z ostatniego roku nauki w szkole oficerskiej i awansowanie go na pierwszy stopień oficerski. No i tak zrobiono. Po czym skierowano go do służby, wtedy były takie Brygady Obrony Wybrzeża, do takiej brygady. Cała sprawa znalazła swoje zakończenie w oficjalnych dokumentach kontroli komisji partyjnej, po czym wypłynęła następna sprawa w komisji kontroli partyjnej o dwie rzeczy, o sprzeniewierzenie pieniędzy, wydawanie fałszywych rozkazów wyjazdu i pobieranie nieuzasadnionych diet, bo on tam był szefem sztabu batalionu i jakaś afera z uwiedzeniem żony, któregoś tam. Więc komisja kontroli partyjnej znowu w to wkroczyła, ale skończyło się na naganiu. Jest to jedyny znany mi przypadek, bo ja kazałem im to sprawdzić. Ilu oficerów w Wojsku Polskim miało dwie sprawy przed komisją kontroli partyjnej Wojska Polskiego? Więc nie było takiego oficera, który by miał dwie. Na ogół wystarczała jedna i po jednej wyrzucano z wojska. Nie było odwołań. Więc on prawdopodobnie od 1946 roku, jak go wsadzili do tego pudła, to tam został zwerbowany na agenta Urzędu Bezpieczeństwa. Ja posłałem oficera do Wrocławia, żeby w archiwum sądu rejonowego odszukać tę sprawę. W tej teczce jest załączony raport tego mojego oficera i tam stwierdził, że na trzy miesiące przed tym, myśmy się tą sprawą zainteresowali, cały materiał został wycofany, archiwalny, stamtąd i nie potrafiono powiedzieć, kto go zabrał.